

Nr 21 (3)

Anyten Mlek

Promocja!

Oszczędzasz 1 grosz!

Styczeń 5002 *Nieregularnik świąteczno – dramatyczno – systemowy* **cena 99 gr**





Wstępniak

Tak, tak, moi drodzy, nasze kochane ofia... dzieci najwspanialszego systemu, niezawodny Santa Clau\$ przynosi wam pod to, jakże miłe w uścisku, drzewko

Autorzy

Ptaszyna — Edyta Pętkowska (2f)
Rafał — Rafał Gutaker (3a)
Szczurek — Marcin Mrzygłocki (3c)
Marcin Kurpiel (3e)
piXel — Marcin Napiórkowski (5c)
Z. — Zuzia Pacholczyk (5c)
Hcorg — Konrad Grochowski (6c)
SPR

Graficy

Koszatka — Kasia Kluge (3f)
Placek/Platzek — Łukasz Stępnik (1c)
Tomek G. — T. Grochowiak (zewn.)
Piotrek Witek — (okładka) (5c)

następny numer słusznika artystycznego. Z tej okazji redakcja życzy wam jak najmodniejszych hamburgerów na stole wigilijnym, jak najzieleńszych zielonych szeleszczących pod obrusem, bajerancich komórek roślinnych i zwierzęcych pod $C_6H_{12}O_6$ inką. I żebyście mieli nieustającą ruję twórczą w celu wspomożenia bezkrwawego organu propagandy intelektu, jakim jest Анытэн Млэк.

Redakcja chciałaby jeszcze zaznaczyć, że pomimo piromańskich zdolności (robota pali się jej w rękach), stara się utrzymać ideologiczną wymowę tekstów na poziomie anarchii (ku pamięci Witosa — oby był wieczny! Oby miał mauzoleum!). Pogłoski, że redakcja idzie się wieszać z powodu wyników próbnej matury, są tylko wredną bujdą

wrogów systemu, którzy powinni być skreśleni i ukrzyżowani.

Zaspiewajmy jeszcze przy tej wiekopomnej okazji:

*Budujemy nową shopkę
Całkiem nową shopkę
To co w duszy komu gra
Kto co w swoich widzi snach
Arkadyjska wizja świata
Tworzy nam tarasy złote
Raj nieziemski będzie tu
Płać nieziemsko tylko tu
Na dolary dolarów. Enter.*

Nota Centralnego Biura Cenzury: zamieniono słowa: „krwawego” na „bezkrwawego”, „Sraj” na „Płać”. Towarzysz A.K. Kliczko

Listy do redakcji

Stalowa rękawica

Filozof, na łamach poprzedniego numeru poczynił pewną prowokację, licząc na skutki, no to ma.

Drogi Szczurku! Nie mogę odpowiadać za setkę humanistów z obecnych klas trzecich, głównie dlatego, że nie było mnie w szkole dwa lata temu (musiałam kiedyś skończyć gimnazjum) i nie wiem, jak się układała ich współpraca z redakcją. Za to wiem, jak jest w mojej klasie i podejrzewam, że podobnie jest w innych.

Nie każdy czuje w sobie potrzebę pisania artykułów, wierszy czy opowiadań. Niektórzy uczniowie klas humanistycznych mają inne zainteresowania (film, teatr, muzyka, historia, malarstwo) oraz nie czują potrzeby dzielenia się nimi z innymi. Każdy niech ma prawo do własnego, intymnego świata sztuki, gdzie nie będzie musiał poddawać swych prac ocenie, krytyce. To nie świadczy o grafomanii, bo moim zdaniem grafoman jest osoba, która robi coś bez przekonania i dlatego powiela utarte schematy produkuje rymy częstochowskie, "niezgrabione odcłanianie miłośnicy tragicznej acz kłiwiej" i inne cuda-niewidy.

Swoim artykułem bronię prawa humanów do niepisania (jeśli nie mają ochoty, lub nie czują potrzeby - nie do lenistwa), ale też wolności wyboru dla innych. To prawo dla mat-fizów do nie udowadniania twierdzenia Fermata w każdej wolnej chwili, przywilej biol-chemów do nie przeprowadzania piorunujących doświadczeń chemicznych, przyrodników do nieurządzania sekcji zwłok żaby bez wyraźnego powodu i geologów do niebadania skał i rysowania profilów morfologicznych świątek, piątek czy niedziela. Zależy mi na tym, by każdy miał wolność wyboru i nie był przypisany do żadnego

schematu typu: human - natłoczony poeta w rozciągniętym, czarnym swetrze o nieobecnym spojrzeniu. Na razie mogę bronić niezależności na łamach "Anytlena".

Jeżeli chodzi o użycia wyrazu "human" jako synonimu "human", nie mogę odpowiadać za "nie odpuszczający" słownik w Wordzie Szczurka. Wierzę tylko, że przy odrobinie dobrej woli autor tekstu "Filozofem w mrowisko" znalazłby kilka innych synonimów. Niekoniecznie w komputerze.

Myślę, że ta skromna polemika, choć trochę wyjaśniła poglądy autorki, aspirującej do miana "intelektualnej drapieżniczki", niekoniecznie predatora. A dla Szczurka mam inne wyzwanie - włożyłeś kij w mrowisko a ja pójdę dalej: rzucam rękawicę intelektualnego pojedynku (choćby na cytaty filozofów i pisarzy). Stalową rękawicę.

*Ptaszyna
alias Terminatrix
alias Czarna Mamba*

Kontra złomiarza

Zacznę od rzeczy, która powinna być tak, jak to opisałaś; niestety przemawia przez ciebie nieograniczony optymizm - sytuacja w twojej klasie jest jednak trochę odmienna.

"Nie każdy czuje w sobie potrzebę pisania..." Ale dlaczego nie czują jej prawie wszyscy?! Jak przypominam sobie klimat z Bolesławowa - tą pasję, z jaką głośno się swoje poglądy - to jestem jednak trochę zasmucony.

O grafomani nawet nie chce mi się sprzeczać. Najpopularniejsze stanowisko jest takie, że jest to ktoś, kto bezkrytycznie podchodzi do własnej twórczości*. I tyle.

Piszesz następnie o wolności wyboru. Niby czemu? Czy ja chciałem ją ograniczać? Mówię

tylko, że nie chce się im dokonać właściwego wyboru.

W porządku, takiego na przykład twierdzenia Fermata można nie udowadniać przez cały czas, nie przeczę, ale nie byłoby się wtedy pasjonatem. A jak się nie jest pasjonatem, to jest się słabym. Słabych tutaj nie potrzebują. Wystarczy?

Gratuluje także propagandy schematów. Human jako poeta! Hobo! A dramaturgiem być nie może, prozaikiem? Przypominam, że proza i dramaty są w Anytlenie drukowane równie chętnie jak liryka. Więcej nawet: stanowią większość. A czarny sweter to mi się kojarzy z kimś innym**.

Jeśli chodzi o synonimy humana, to... bmm... może być dobry kolega, hoffmianiak(!) itd.? Bo nie wiem, co mają synonimy do mojej wypowiedzi...

I jeszcze jedno: stalową rękawicę to możesz sobie rzucić. Na złom. Zwyczaj jest taki (albo przynajmniej był), że jak mężczyzna wyzywał innego na pojedynek, to rzucał mu w twarz zwykłą rękawiczkę. Nie wiem, co byłoby w przypadku dziewczyn, ale na pewno nie rękawiczka, bo znaczy już coś innego - styśzać ktoś o schillerowskiej "Rękawiczce"? I nie byłoby to raczej coś ciężkiego. Chyba że ktoś miałby rzucać za ciebie, ale wtedy to byłoby niebonorowe.

O mało nie pominąłem pewnego zagadnienia, a nie chce, aby postawiono mi zarzut przemilczania, więc powiem jeszcze, że zamieściłem jeden cytat - więcej nie mogłem z braku miejsca, ale chyba nikt nie będzie miał mi tego za złe.

Z poszanowaniem
07.12.2004



Listy / konkurs

**Może jeszcze jedno: zauważ, że nic nie napisałem np. o chęciach. Jeśli wydaje ci się, że za szybko kończę, to dopowiem: jeśli robiłby coś bez przekonania, to czy byłoby to dla niego sensowne? Nie lepiej np. kopać doły? Daje to przynajmniej satysfakcję...*

***Ci, co bywali na kiedyś istniejącym kółku fizycznym, wiedzą, o kogo chodzi.*

Szczurek

Mrówki wy moje, pozwólcie, że owy kij w mrowisku przemienię w kaduceusz Hermesa i was pogodzę. Human? Biolchem? Mat-fiz? Nie no, muszę przyznać, że pięknie to brzmi, ale co powiecie na Dzieło Boskie, które niewiele się zastanawiając Adam nazwał — „człowiek”? Czy osobnik z klasy humanistycznej nie może być geologiem? Czy ktoś z klasy fizycznej nie może filozofować? Kim

był więc Pascal? Człowiek: słowo-worek z takim ogromnym zakresem, a z taką małą treścią. Jeśli potraficie ograniczyć mat-fiza czy mat-społa do

paru linijek definicji, chętnie was wysłucham.

Rafał

Redakcja Anytena Mleka ma dzisiaj (czyli — niestety — zawsze) dobry humor, więc postanawia ogłosić konkurs. Jest związany ze zdjęciem prof. Natorfa zamieszczonym na stronie... (Zaraz, ktoś wie, na której?), a pytanie konkursowe brzmi:

W której sali zostało zrobione to zdjęcie?

Nagrodą będzie uścisk dłoni/jaj/czegokolwiek przez redaktorów i wpisanie na listę zalegających z tekstami. Odpowiedzi prosimy przysyłać na karteczkach do redakcji Anytena Mleka (gdzieś nas znajdziecie) do 14 stycznia 2005 roku. 17 stycznia odbędzie się losowanie nagród, a będą to: zwycięzca — podrabiany kamyk z Giefontu; również_dobry_odgadywacz_zagadek — kalafior, jeśli się łaskawie przyśni; osoba_która_trafiła_najbliżej otrzyma relikwii z próbką ziemi z doniczki Mariusza Cz-C.

Powodzenia!!! Redakcja

Moskwa. Paul McCartney.

Moskwa. Ogromne miasto pełne cerkwi i pseudo Pałaców Kultury (jak łatwo nam, przyzwyczajonym do Warszawy, stracić tam orientację!). Miasto opisane już wiele razy, znane nam z „Mistrza i Małgorzaty”. Miasto stare i dostojne. Miasto — legenda...

Cerkiew: wiele kolorowych kopulek, zapalone świeczki, nakryte głowy kobiet, wielobarwne procesje.

Metro: linie krzyżujące się wiele razy, wielopoziomowe stacje, mozaiki przedstawiające Lenina.

Kreml: wysokie mury, wielu strażników. Wszędzie wiszą kartki „biletów brak”, choć w wielu miejscach można je bez problemu kupić. I duma narodu rosyjskiego: armata tak wielka, że przy wystrzale rozpadłaby się. I dzwon tak duży, że pękł jeszcze podczas odlewania.

Patryjarsze Prudy: Wielu ludzi nie ma pojęcia o ich istnieniu. Nie występują na żadnej mapie. Tylko starzy taksówkarze potrafią mniej więcej określić ten teren. Ale ulica Sadowa to w istocie wiele krótkich ulic i nie sposób odnaleźć domu 302-bis.

Ludzie: pełni agresji, niechętni, z góry nastawieni negatywnie.

Plac Czerwony: Po prawej ciągną się mury Kremla, z lewej słynny GUM (dom towarowy). W otwartych oknach na ostatnim piętrze sprzedawczynie i ekspedientki niecierpliwie czekają na koncert. Na dachu uwija się ekipa oświetleniowa.

Scena już gotowa. Daleko z prawej strony widnieje mauzoleum Lenina, chociaż dziś wielu ludzi widzi na nim napis „Lennon”.

Jest 24 maja, zapada zmrok. Ostatnie promienie zachodzącego słońca świecą muzykom prosto w oczy, więc nie mogą oni dojrzeć zgromadzonego na Placu Czerwonym tłumu. Ale tłum widzi ich, widzi tancerzy wchodzących na scenę. Kobieta w czerwonej sukni i mężczyzna z jabłkiem zamiast twarzy. Ruch, taniec, muzyka. Wielobarwny spektakl.

I On. W czerwonej bluzie, z fioletową gitarą. We własnej osobie. Sir Paul McCartney.

„Są takie piosenki, że się je pisze, nagrywa, a potem o nich zapomina. Jest taka jedna, którą nagraliśmy w 1968 i już nigdy później jej nie graliśmy. Zawsze chciałem zagrać ją w Moskwie.”

I zagrał. Back In The U.S.S.R.

Jak sam mówił, spełnił swoje marzenie. My też. Nikt z nas nie spodziewał się, że kiedykolwiek usłyszy McCartneya na żywo. Nikt z mieszkańców odciętej przez tyle lat od świata Rosji, gdzie muzyka Beatlesów była przecież niepoprawna politycznie. Nikt z ludzi pamiętających śmierć Lennona z czasów swojej młodości. Nikt z urodzonych — jak ja — za późno.

„Czekałem na Ciebie 30 lat” — napisze ktoś z tłumu.

No i spełniło się. Jest słynne „Band On The Run”, są piosenki z czasów beat-

lesowskich. Nawet zagrane na banjo „Something” — w hołdzie George'owi. McCartney porzuca czasem swoją gitarę i gra na tęczowym pianinie. Perkusista śpiewa razem z nim, drugi gitarzysta jest z zupełnie innej bajki, wygląda jak wyrwany z jakiegoś heavymetalowego koncertu.

I jest publiczność, wielobarwna i wielokulturowa. Nawet prezydent Putin przyszedł posłuchać. Mówimy różnymi językami, ale wszyscy śpiewamy razem z Paulem, powtarzamy „love and peace”. Tańczymy, cieszymy się. Wielu z nas nosi koszulki z napisem „The Beatles”, niektórzy mają na swoich żółtą łódź podwodną albo okładkę „Let It Be”.

A potem, w środku nocy, wracamy do domów. Moskwa żyje, na okolicznych placach siedzą jeszcze zasłuchani ludzie. Nadal panuje uśmiech, pokój i miłość. Cieszymy się, mówimy „popatrz, udało nam się!”. W oczach mamy łzy, podchodzimy zobaczyć z bliska scenę, zabieramy na pamiątkę serpentyny rozrzucone po Placu Czerwonym. Na kilka godzin Moskwa stała się miastem przyjaznym, zniknęła zwykła ludzka złość i nienawiść. Zdarzyło się to, na co wszyscy czekaliśmy całe życie, chociaż dawno straciliśmy nadzieję. Wychodzimy z Placu Czerwonego, mówiąc: „Widzieliśmy Paula. Można umierać.”

SPR

Gombrowicz w snach



czyli dramatyczny zapis
skompiłowanych snów klasy Vc

Osoby dramatu:

Japończyk
Panna
Nieznajomy w Parce
Staruszka
Ktoś, Kto Mnie Śni (Kopyrda)
Zakonnice-Czarownice (Miętus i Syfon)
Filip
Zombie - Piotrek i Jacek (szaleńcy)
Oraz
Leszek
Ludzie z klasy
Siostra
Matka
Dziennikarz
Ja, czyli autor

Scena 1 — festyn

(Jak sama nazwa wskazuje, trwa właśnie festyn. Ja z Siostrą i Matką siedzimy na ławce, inni tańczą i piją, w tle gra orkiestra; niebo jest lekko zachmurzone, piana od piwa wycieka uszami, z oddali uporczywie wpatruje się we Mnie Japończyk)

Ja: *(milczę)*

Siostra: I pomyśleć, że cały ten festyn tylko z powodu kolii...

Matka: Nie mów tak głośno. I tak wszyscy wiedzą. *(Patrzy na kolię, którą ma na szyi)* Ciężkie to. *(podchodzi Dziennikarz)*

Dziennikarz: Dzień dobry, chciałbym porozmawiać z panią o tych diamentach.

Matka: Ach, tak. Są piękne, prawda?

Dziennikarz: Piękno to rzecz względna. Ile są warte?

Matka: Nie znam się na tym. Proszę spojrzeć, ten bardzo pięknie rozszczepia światło.

Dziennikarz: Czy łańcuszek jest ze złota?

Matka: Uważam, że ładnie się komponują z sukienką. Podoba się panu?

Dziennikarz: Ile osób można nakarmić taką kolią?

Matka: Przepraszam, idę poszukać męża. *(odchodzą każde w swoją stronę)*

Siostra: A jak nas będą o to pytać?

Ja: *(myślę o ***)*

Siostra: No? Czemu nic nie mówisz?

Ja: Czy nie masz wrażenia, że ten Japończyk się czai?

Siostra: Nie. Idę tańczyć. *(odchodzi)*

Japończyk: *(czai się)*
(tak jeszcze przez chwilę, potem Japończyk podchodzi i Mnie obejmuje, zaczynamy tańczyć)

Ja: Musimy uciekać.
(biegniemy, potykając się o linki naciągowe od daszków rozstawionych na czas festynu. Po ziemi walają się puszk i kubki po piwie, niedopałki papierosów i inne śmieci. Zatrzymujemy się za rogiem, Japończyk gdzieś znika, Ja jeszcze przez chwilę patrzę na festyn, potem odchodzę)

Scena 2 — ulica

(Ja idę ulicą. Słońce świeci bardzo radośnie, ulica jest zupełnie pusta, idę przez sam środek ronda. Na chodniku po drugiej stronie stoi Nieznajomy w Parce i uśmiecha się zielono. Wyciąga rękę, Ja podchodzę do niego i zaczynamy tańczyć — uwaga, to wszystko w absolutnej ciszy! — taniec na skrzyżowaniu trwa, cały świat się na nim koncentruje, nagle nie-wiadomo-skąd pojawia się Staruszka)

Staruszka: *(z końca sceny)* Co to jest?

(Ja odwracam się, bo to pytanie skierowane było do Mnie. Staruszka wskazuje rysunek na murze, przedstawiający szare jajko)

Ja: Jajko.

Staruszka: Wcale nie! Jest szare!

(Staruszka zaczyna się śmiać, zadowolona z „kawału”, który mi zrobiła. Odchodzi, chichocząc i ciągnąc za sobą swój wózek z zakupami; Ja odwracam się, nie rozumiejąc, do Nieznajomego w Parce, ale jego już nie ma. Przechodzę

więc na drugą stronę ulicy i idę wzdłuż płotu. Od tej chwili stale towarzyszy mi Ktoś, Kto Mnie Śni, idąc tuż za Mną, lecz poza zasięgiem mojego wzroku. Za płotem widać park, po którym snują się dziwne postaci; tuż przy kracie, w piaskownicy, siedzą Zakonnice-Czarownice ze szponiastymi paznokciami)

Ja: *(zatrzymując się)* Czy to był może On?

Zakonnice-Czarownice: *(śmiejąc się wiedznowato)* Ha, ha, nie powiemy, nigdy, nigdy! Miłość! Miłość! Ahahahahaha! Miłość! Miłość! *(przedrzeźniając)* Kochać! Kochać! Zaganiać młodzież do miłości! Do kochania!

(naraż Zakonnice-Czarownice zmieniają się w Miętusa i Syfona)

Miętus: Tak, tak, tak, tak! Niech to robią! Jak najwięcej! O, tak! Niech robią, wiosną dzieci niech płodzą! Dytyramb! Wiosna! Cieleśność!

Syfon: Nie! Nie! Jak śmiesz? Nie chcę tego słuchać, nie mogę... Miłość! Wzniosłość! Niech kochają tak wzniosłe, że nigdy na siebie nie patrzą nawet! O, tak! Niech wiersze piszą! Mickiewicza niech czytają!

Miętus: Niech cierpią!

Syfon: Nie, nie mogę...

Miętus: Niech się poca! Niech drżą ich rozdygotane ciała!

Syfon: Wiersze!

(w oddali, w głębi ogrodu pojawiają się chodzący bardzo wolno zombie; uwaga wszystkich jest przez chwilę na nich właśnie skoncentrowana, bohaterowie chłoną ich całymi sobą, Miętus i Syfon z rosnącym przerażeniem, Ja i Ktoś, Kto Mnie Śni — z zachwytem i fascynacją; wszystko narasta aż do tego momentu, w którym wypada nam rzucić się biegiem, okrążyć płot i znaleźć się po tamtej stronie, biec dalej w kierunku zombie, zostawiając za sobą otepiałe Zakonnice-Czarownice)

Pamiętaj, uczniu, to złote przysłowie

— z nim nie zginiesz na lekcjach w Hoffmanowej:

„*Jak się nie wie, co się mówi, to się mówi, co się wie*”



Scena 3 — ogród

(tyły ogrodu, po którym snują się zombie; jest ich trzech, tzn. Piotrek, Jacek i Leszek)

Ja: (śmiejąc się) To wy! To w końcu wy!

Leszek: (przypominając sobie z trudem) To ty... Pamiętam cię...

Piotrek: O, nie. To ja ją pamiętam.

Leszek: (śmiejąc się gorzko) Czy pan nie rozumie? My jesteśmy śnieni. Ten tam (wskazuje na Kopyrdę), Kopyrda — to on nas wszystkich śni. Niczego nie możemy pamiętać. Nawet jej. Jej nawet. Jej nawet nie ma.

(w czasie przemowy Leszka inni powoli schodzą się do niego, pojawiają się nawet Zakonnice-Czarownice, wszyscy tworzą krąg, biorą się za ręce, rozpoczynają się powolny dance macabre przy akompaniamencie własnego ich śpiewu, a śpiewają w kółko "nie ma" i dopiero wejście Filipa przerywa taniec, ze sceny pierzchają wszyscy poza Piotrkim, Leszkiem, Mną i Kopyrdą; Filip w sposób niezwykle teatralny — teatr w teatrze! — deklamuje)

Filip: Och, Melpomeno, serca mojego władczyni! Ja, Filip, wyciągam dłonie do Twojej urody nienawykłe... (Filip zastęga w jakiejś podniosłej pozie, na scenę wysypują się Ludzie z klasy, wszyscy

w prześcieradłach a la Grecja. Przez cały czas trwania tej drugiej sztuki Leszek, Piotrek i Ja żywo na nią reagujemy — widać, że nam się podoba, mimo że jest bez sensu. Kopyrda jak zawsze stoi cichy i nieruchomy tuż za Mną)

Klasa: (chórem) Wielbimy! Wielbimy!

Ktoś I: Było to dawno w krainie odległej. Piękna Melpomena córą była rodu znamienitego.

Ktoś II: Żył w mieście biedak, co ni sandałów, ni przyodziewku nie miał.

Ktoś III: On to Melpomenę za kawałek chleba zabił był gotów.

(Ludzie z klasy mówią coraz niecierpliwiej i coraz głośniejsze, każdy swoje, potem już wszyscy na raz — lecz w kółko te trzy zdania; robi się zgiełk i bałagan, entropia rośnie aż do krzyku Piotrka)

Piotrek: (krzyczy) Wszyscy jesteście śnieni!

(wszyscy milkną i nieruchomieją, światło gaśnie, kurtyna opada)

Scena 4 — po festynie

(znów przed domem, gdzie wcześniej odbywał się festyn; namioty jeszcze rozbite, choć puste; wszędzie walają się śmieci; na schodach przed domem siedzą Ja i Ktoś, Kto Mnie Śni)

Ja: Dziwne miewasz sny. Nawet taniec

na skrzy-
żo w a n i u
wyśniłeś.

Kopyrda: Bywa. W końcu śnię ciebie.

Ja: A zombie? A Czarownice-Zakonnice? Jeśli wyśniłeś to wszystko...

Kopyrda: Tak. Lecz i mnie ktoś musiał wyśnić.

(pojawia się Japończyk, schodzący po schodach w stanie lekkiego upojenia z Panną pod rękę)

Japończyk: Stwórca jest bliżej, niż przypuszczasz.

Panna: He, he.

Japończyk: Ten, co nas ze słów powołał i sny nasze przewidywał.

Panna: He, he.

Kopyrda: (zrywając się) Ten, co wszechmocny nie jest! Słowo pod naszą władzą!

Panna: He, he.

Japończyk: I my sami spod jego władzy wyjdziemy!

Panna: He, he.

Kopyrda: „Ja sam ten ślub sobie dam!”

Panna: He, he.

Ja: Nie ma was.

(na to wszyscy milkną, nieruchomieją, znikają)

Ja: I Stwórcy nie ma.

Z.

Kim jesteśmy?

Kim tak naprawdę jesteśmy, młodzi licealiści z porządnej szkoły, z dobrymi ocenami, z mnóstwem pieniędzy na nowe gry czy dające trójwymiarowy efekt tusze do rzęs? Kim jesteśmy my, ludzie, którzy tak często myślimy, że wszystko nam się należy, że dostaniemy ekskluzywne studia prawnicze i medyczne, dobrze płatną posadę a potem będziemy mieli życie jak z bajki? Kim jesteśmy, kiedy chcąc osiągnąć jak najlepsze wyniki w nauce, wypominamy przyjacielowi z ławki, że dostał pięć minus a nie cztery z plusem, tak jak my?

To okrutne, to, co napisałam, ale tak jest — przynajmniej niekiedy. I możemy wspomnieć jeszcze o wielu analogicznych sytuacjach: kiedy zwracamy się pieszczotliwie do kolegi z klasy: ty głupolu, ty tępaku (a w rzeczywistości

gorzej), kiedy siedzimy gdzieś tam na lekcji z najciekawszym nauczycielem w całej szkole i umieramy z nudów — bo jesteśmy tacy zmęczeni życiem. Albo wręcz przeciwnie, gdy brakuje nam odwagi by powiedzieć profesorowi, że coś do nas nie dotarło, bo forma, w której to zostało przedstawione, jest nieciekawa. Ale wtedy jakże wielu z nas stać tylko na cyniczny uśmiech.

Sporo ludzi uważa, że ma jakieś przekonania — jestem punkiem, metalem, hip-hopowcem, anarchistą, nacjonalistą czy skinheadem. I potrafi bardzo odważnie tego światopoglądu bronić — oczywiście wszędzie, tylko nie w szkole, ponieważ boi się podpaść. Nauczycielom, kolegom i Bóg jeden wie, komu jeszcze.

Moja ocena jest negatywna, przyzna-

ję, ale nie chcę tego zjawiska uogólniać.

Po pierwsze: nie każdy jest taki — to chyba jasne jak słońce, że są ludzie, którzy potrafią się zachowywać, jak na członka gatunku Homo Sapiens przystało, tacy ludzie sprawiają że wszystkim wokół robi się lepiej, mają wielu przyjaciół itd..., ale nie wymieniam z nazwiska, ponieważ ktoś taki na pewno kręci się koło Was.

Po drugie: wierzę, że zachowywanie się na poziomie niedocenionej gwiazdy telewizyjnej czy wyśmianego geniusza naukowego, to taka faza przejściowa. Ludzie mogą czuć się zagubieni, zakompleksieni, niedowartościowani, czy wreszcie odrzuceni przez swoje otoczenie. Takie zjawisko świadczy źle przede wszystkim o nas, jako o społeczności, która z jakiegoś powodu usuwa nieco



Kim jesteśmy?

słabsze (nie lubię tego określenia, poza tym to nie biologia, niech będzie — różniące się pewnymi cechami od reszty) jednostki na margines. Tylko, kto potrafi dostrzec w komentującym każde wydarzenie naokoło, językiem ostrym jak brzytwa, pewnym siebie chłopaku, człowieka, z którym dziesięć lat temu nikt nie chciał się bawić... Zakładam, że jednak nie każdy z nas ma wyższe wykształcenie psychologiczne czy psychiatryczne (chyba, że o czymś nie wiem). Nie każę ludziom robić z siebie zaraz drugiej Matki Teresy z Kalkuty, żeby ratować każdą zbłąkaną owieczkę, ale

uczulić Was na to, że osoba, którą być może obgadywaliście na poprzedniej przerwie i tak się o tym kiedyś dowie i być może zranicie ją tak głęboko, że aż sami sobie tego nie wyobrażacie. Lepiej zastanowić się dwa razy nad każdym słowem, niż żałować, że się powiedziało o jedno za dużo. A rozmowa na przerwie nie stanie się ani trochę mniej pasjonująca — inteligentni ludzie potrafią rozmawiać na tak wiele tematów. O ile są na poziomie (ktoś, kto ma dobre stopnie niekoniecznie musi być inteligentny - przyp. autorki).

Wierzę w to, że w ludziach jest

dobro (o nie, nie jestem naiwna, jak pewnie wiele osób pomyślało w tej chwili), ale oni sami nieraz sprawiają, że nie chce nam się go dostrzec. A może tak nie jest? Chętnie zapoznam się z opiniami innych, dotyczącymi negatywnej strony nastolatka z LO, a może tylko ja tak to widzę. Mam tylko nadzieję, że ten tekst nie pozostawi Was, jak cała masa innych spraw, obojętnymi.

Ptaszyna

Wyjęzyczenia

Prof. M. Perkowski (chemia)

- > *W czwartek jest kartkówka... a zapisane jakby jakaś randka była...*
- > (gdy uczennica opornie dawała zeszyt z pracą domową) — *Spokojnie, nie obślinię.*
- > *Śpi się z kimś, odpoczywa samemu* (komentarz odnośnie odpoczynku zbiorowego).
- > *Kartkówka była prosta — wszyscy oblali.*
- > P. Prof.: „l” jak... *papierek Lamusowy*; „m” jak... *hmm...Może zdasz.*
Zadowolona klasa: *Wszyscy mają Mambę!*
P. Prof.: *Ja nie mam.*
(Później): „n” jak... *Niedostatecznie.*
Zdenerwowana klasa: *A dlaczego nie „Niesamowicie dobrze”?*
- > P. Prof.: *Koleżanka nawarzyła piwa, a ty je wypijesz* (gdy prof. zaznaczył kropką ucznia ciągle rozmawiającego z koleżanką).
Ucz.: *A bezalkoholowe? Bo w tym wieku nie mogę pić innego...*
- > *Dotykać się będziecie po lekcji* (do przepychających się pod ławką uczniów).
- > Uczennica: *Co się może zdarzyć?* (na groźbę prof. odnośnie kartkówki)
P. Prof.: *Dużo. Jak będziesz starsza.*
- > Uczeń: *Można panu ponaciśkać?*
P. Prof.: *Ty mi lepiej niczego nie naciskaj!* (chodziło o kalkulator, na którym były liczone punkty z kartkówki).
- > *Żeby pozbyć się kobiety to wystarczy*

- za nóżki i o ściankę. Tyle tylko, że niektóre trudno wziąć za nóżki...*
- > *Jak się idzie na odsysanie tłuszczu to potem tyjemy czy chudniemy?*
- > (Przy odpowiedzi do uczennicy) *Bez breakdance'ów.*
Uczennica: *Ale to stres.*
P. Prof.: *Stres to jest jak nie ma alkoholu we krwi.*
- > *Uwaga! Punkt kulminacyjny!* (oznajmiła uczennica po półgodzinnym referowaniu). Reakcja prof. na przebudzenie zaspanej klasy: *Spokojnie. Ona nie będzie się rozbić.*
- > Uczeń: *Czym się one różnią?*
P. Prof.: *A czy nie widać, że mają majtki w kratkę?*
- > Klasa: *Co nas czeka na kartkówce?*
P. Prof.: *A czy mężczyzna wie, co go czeka jak się żeni? Nie. I dlatego są rozwody. Bo z kobiety wychodzi.*
- > P. Prof. (wyjaśniając temat): *A czy drzewo jest zadowolone, że huba na nim siedzi?*
Klasa: *Jemu to zwisa.*
P. Prof.: *A czy pies jest zadowolony, że ma pchły?*
Uczeń: *Tak, bo ma własną hodowlę.*
- > P. Prof.: *Chce ktoś jeszcze podotykać probóweczkę?* (Niektórzy chcieli; po jakimś czasie...
P. Prof.: *Już, już bo za bardzo zmacają biedną probóweczkę — wszystko ma swoje granice.*
- > (Gdy było za zimno w klasie) Uczeń: *Może jakaś reakcja spalania?*
P. Prof.: *A chcesz robić za pochodnię?*
Uczeń.: *A dostanę 5?*

- P. Prof.: *A po co ci wtedy 5?*
- > Uczeń: *Po co?*
P. Prof.: *Po co to się nogi noco...*
Uczeń: *A czasami...*
P. Prof.: *Jeżeli aż tak bardzo to używaj antyperspirantu.*
- > P. Prof. (na widok rąk ucznia, który przynosił probówkę z substancją) *Jaka delirka! Zanim doniesie to połowy już nie będzie.*
- > Rozmowa na tematy medyczne, ponieważ w klasie pojawiło się zagrożenie wirusem świnki. Uczeń do ucznia: *Miałeś świnkę?*
Uczeń drugi: *Nie pamiętam, ale coś mi się za uszami powiększyło...*
P. Prof.: *Trzeba się myć.*
- > P. Prof. (spokojnie): *Proszę już o ciszę.*
(Zenerwowany): *Ej!!! Rozpląszczaj tyłki. Tylko swoje własne.*
- > P. Prof. (na widok zniszczonego dziennika): *Kto wyżarł dziennik? M.!*
M.: *Przepraszam, ale nie mogę mówić z pełnymi ustami.*
- > P. Prof. (podczas odpytywania): *Jakie znasz odmiany alotropowe węgla?*
Uczeń: *Diament, grafit, sadz... szadzik? i nanorurkę.*
- > P. Prof. o jakiejś rasie psów: *To są psy zaczepno-obronne. One zaczepiają, a ty je bronisz.*
- > P. Prof. (lekcja o stężeniu %): *To wg was kupuję 20% wiśniówkę do tego, chlast, czysta i mam spisy!*
- > P. Prof. (do referującej) *Czy ty się na pociąg spieszysz?*
Uczeń: *A co? Mam mówić szybciej?*



Wyjęzyczenia dalsze

- > Uczeń: *Mogę się zgłosić?*
P. Prof.: *Nie!*
Uczeń: *Dlaczego?*
P. Prof.: *Bo nie.*
Uczeń: *Ale dlaczego?*
P. Prof.: *Bo jesteś dzisiaj brzydko ubrany.*
- > P. Prof. (zdenerwowany niewiedzą uczniów) *Czy was wykastrowali?!*
Uczeń (wskazując na kolegę): *Jego!*
P. Prof. (do wskazanego ucznia): *Co to dzisiaj jadłeś na śniadanie?*
Uczeń: *Jajecznicę.*
- > Uczeń: *Zegarek mi stanął.*
P. Prof.: *Dobrze, że tylko zegarek.*

Prof. Przeździecka (j. angielski)

- > *K., could you write zadanie piąte?*
- > *Nie ma przedimka przed weather bo to jest uncountable.*
- > *M. jest not prepared.*
- > *M. ma to two-two-eight? (ćwiczenie).*
- > *Jak czyta many people to się tak nastawiamy, prawda?*
- > Uczeń: *Hard punishment.*
P. Prof.: *Nie bardzo kolokuje to z tym rzeczownikiem.*

Prof. E. Płaza (j. polski, WoK)

- > P. Prof.: *Czytałeś „Folwark zwierzęcy”?*
Uczeń: *Nie, ale oglądałem Big Brothera.*
- > *Muszę was odczytywać między wierszami.*
- > (Uczeń zgłasza się do odpowiedzi)
P. Prof.: *M.?! No nie, uprzedzaj mnie na przyszłość, gotowa byłaby dostać ataku serca.*
- > (Przy referacie) *Co który podejdzie to mi uświadamia, że mu krzywdę robię.*
- > (o koledze) *Ja go kiedyś zamorduję, a każdy sąd mnie uniewinni.*

Prof. Andrzejewska (informatyka)

- > *Zgadza się?*
(cisza)
Mocą zwierzchności wam wmawiam, że TAK.

Prof. W. Natorf (fizyka)

- > *Excel jest idiotoodporny.*
- > P. Prof.: *No to rzeka ma... szerokości,*

- woda płynie z prędkością ...*
Kąt wynosi... I co, chyba wszystkie dane?
Uczeń: *Jak chcemy dokładnie, to jeszcze wysokość płynącego ludzika...*
P. Prof.: *Ludzik nie ma wysokości!*
To jest punkt materialny!
Uczeń: *To czym on wiosłuje?*
P. Prof.: *?! Nibynóżkami!*
- > (Nowe twierdzenie) *Kuli nie da się zaczesać.*

Prof. E. Błahuta (matematyka)

- > Uczeń (na przerwie): *Czy mogę obejrzeć dziennik?*
P. Prof.: *Ja to nie pytałam, jak byłam w szkole, czy mogę dziennik obejrzeć...*
- > *Funkcja jest funkcją wielomianową, czyli porządną.*

Prof. E. Wiśniewska (j. polski)

- > (przy „Jądrze ciemności”) *Był prawdziwym marynarzem, który znalazł lądy.*





John Aplaus

— Chyba namierzyłem coś wielkiego.

— Mam nadzieję, że to spora ławica.

— Eee... To raczej coś bardziej jednolitego...

— Przestań chrzanić, wielorybów tutaj nie ma.

— Eee... To jest coś większego od wieloryba...

— Co?! — John spojrzał na ekran sonaru — Ty debil! To jest dno!

— John...

— Kretynie jeden, wpłynęliśmy przez ciebie na jakąś mieliznę!

— John...

— Czego chcesz, ty zapluty nawigatorze...

— Nie jestem nawigatorem...

— Wiem, ty...

— A po drugie to coś jak na dno zachowuje się bardzo dziwnie...

— Co?! Na ten przykład?!

— Wynurza się.

John na chwilę zdębiał, po czym odwrócił się i krzyknął do kapitana na mostku:

— Mówiłem, żeby nie zatrudniać zawzalonego zabojadą? Mówiłem?? Schlał się debil...

W tym momencie coś lekko wstrząsnęło statkiem, a po chwili wstrząsnęło mocniej. Dużo mocniej. „Zabojad” z wyrazem skrajnego przeżenienia na twarzy skoczył za burzę.

— No a nie mówiłem! Mielisna...de.... — pojękiwał John, zębami trzymając się blatu w kabinie.

— Może i mielizna — odparł spokojnie kapitan — jednakże pragnąłbym zwrócić panu uwagę na pewną osobliwość. Otóż nasz Piere wyskoczył za burzę, prawda?

— Vrařda....

— No i co powinniśmy usłyszeć?

— Eee? Vlum?

— Ano plum... A było brzdęk.

Był dzień. Albo noc. Trudno odróżnić. Ale to bez znaczenia.

Tak więc w jaskrawych promieniach słońca, lub delikatnej poświacie księżycy, szedł sobie ulicą wampir. To, że wampir sobie szedł ulicą, sugerowałoby, że była noc. Ale wampir ten ubrany był w biały garnitur. Czyli był jakiś nietypowy i jego obecność nie

przesądzała pory dnia. Strój przechodnia dopełniała różowa mucha i fioletowe lakierki. (Uwaga dla dociekliwych: jeśli ktoś ciekaw skąd wiadomo, że był to wampir, to na klapie miał identyfikator.) Wampir był już bardzo blisko swego celu, gdy nagle, bez ostrzeżenia stał się dwuwymiarowy. Bardzo szybko stał się bardzo dwuwymiarowy... I tak ogólnie: rozlażył... Zdarzeniu temu towarzyszył dziwny brzdęk.

Wielkie, regularnie rozłożone dziury na głównej ulicy miasteczka i dziwnie zeszytywnieli mieszkańcy, stanowili jedyną dekorację tego znanego kurortu, teraz poza sezonem, prawie bezludnego. Po chwili promenadą od strony morza przybiegł jakiś mokry cudzoziemiec i rechocząc poobijał się od latarni do latarni w kierunku na centrum. Jakis czas po nim, chodnikiem przyszedł starszy marynarz z fajką (mokrą) w ustach. Zatrzymał się na chwilę przed jakąś kobietą, sprytnie ukrytą za swoją opadłą szczęką.

— Przepraszam panią bardzo — zagadnął rybak — czy nie widziała pani tutaj mojej łodzi? Przechodziła zaczepiona do takiego dużego, metalowego...? Mniej więcej w pasie?

— Eee... eee... eeee...

— Nie? A to przepraszam bardzo. Miłego dnia pani życzę. — I poszedł dalej za śladami.

— Przepraszam, towarzyszu kapitanie — odezwał się pierwszy oficer — uważam, że radiotechnik może mieć niestety rację. Powinniśmy to sprawdzić.

— Że co? Towarzyszu twierdzenie, że zimna wojna mogła się już skończyć i nasze ostatnie 30 lat w łodach Arktyki uznać należy za stracone? Po pierwsze: nigdzie nie widzę wiszących czerwonych sztandarów, a gdyby zimna wojna by się skończyła, to niewątpliwie wisiałyby wszędzie!

— Mimo wszystko uważam towarzyszu kapitanie, że powinniśmy byli sprawdzić dokładniej co krąży w eterze nim storpedowaliśmy to coś na dnie.

— Wątpicie towarzyszu, wątpicie! A ja wam mówię: to była jakaś imperia-

listyczna zagrywka jankesów!

— Czy wolno zapytać się, skąd wiecie, towarzyszu kapitanie, że było to urządzenie amerykańskie? I dlaczego po pięciu torpedach wzięło i wstało? - ostatnie pytanie skierował jednak tylko do siebie.

— Towarzyszu! Więcej czujności! Na obudowie miało napisane: „Made in Taiwan”!

— Chciałbym zauważyć, że osprzęt naszego okrętu też pochodzi z Tajwanu, towarzyszu kapitanie.

— Tak. Ale my piszemy: "Sdzielano u Kitajców". Tajwan to zbuntowana prowincja, nie zapominajmy o tym towarzyszu! A tak między nami towarzyszu: zwróciliście uwagę na to, że jak odpływaliśmy, to ten drugi okręt ani drgnął? He, he parszywe imperialisty posiedzą sobie jeszcze na łodzi!

Johnem nieźle rzucało. Jego kurtka zaczęła o kołnierz stwora i John był uwięziony na jego grzbiecie. Gdy doszli do centrum i kupa żelastwa usiadła na ratuszu, John począł gramolić się na kark, żeby sobie wygodniej usiąść.

Stwór w tym czasie prosił sklepikarza o nowe baterie. Ale z nieznanых powodów sklepikarz dostał zawału.

Po wielkich trudach John rozsiadł się na karku i zaczął wyswobadzać swoją kurtkę. Po chwili jego wzrok padł na coś jakby drzwiczki z napisem: "DO NOT TOUCH please". Nie zdziwił chyba nikogo, że John od razu otworzył drzwiczki.

Wewnątrz było dużo fajnych kolorowych diodek i trzy guziczki. Czerwony, zielony i czarny z trupa czaszką, za szybką i zabezpieczony plombą.

Zgadnijcie który nacisnął.

— Generale! Projekt Gievont...!

— Wiem, słyszałem... Przyślijcie mi tu jakiegoś technika od tego projektu... Gief... Co to za cudaczna nazwa?

— O to trzeba się chyba zapytać głównego technika Kowalskiego i Nowaka — głównego inżyniera.

— A rozumiem. Polacy?

— Nie. Z Chicago.

— Dobra, ale chyba nie to jest teraz



najważniejsze. Jak wygląda sytuacja?

— Jak pan generał zapewne wie, projekt Gievont był małą wpadką naszych techników.

— Małą wpadką?! Wielka maszyna zniszczenia za parę miliardów dolarów wstaje sobie pewnego dnia i stwierdza, że idzie się wykapać, po czym tonie w oceanie, bo rzecz jasna jest z metalu. A na koniec lezie jeszcze po dnie coraz głębiej, aż baterie nie wysiadą... A zresztą jak widać nawet nie wysiadły do końca... To raczej nie wpadka...

— To tylko mały błąd w oprogramowaniu...

— Cisza! Teraz proszę o fakty!

W tym momencie lampka informująca o wejściu switcha zamrugła na zielono. Najwyraźniej coś szło tajnym protokołem. Cztery pierwsze komputery z Windows padły. Na szczęście w szereg połączonych było dwadzieścia, to piąty odebrał wiadomość.

— Generale! Ktoś zdetonował Gievonta...

— No to po problemie.

— ...w centrum sporego miasteczka.

— No to mamy problem. Ale przy-

najmniej w promieniu dwudziestu kilometrów nie mamy świadków.

— Ale może są ranni...

— Wątpię. Tą część projektu nadzorowałem osobiście. Nie ma rannych.

— Ale zniszczenia i zabici...

— No trzeba na kogoś zwalić. Na kogo w tym tygodniu? Proszę o rzutki.

Oficer podał generałowi rzutki. Ten zamknął oczy i rzucił w kierunku tablicy korkowej, zapchanej wręcz zdjęciami. Otworzył oczy i podszedł do zdjęcia w którym utkwiała rzutka.

— Saddam. Trafny wybór no nie?

— Tak. Ale mały problem: dorwaliśmy go...

— To dlaczego to zdjęcie tu wisi? Proszę je natychmiast zabrać.

Generał wyrwał ze złością rzutkę, odszedł dwa kroki i powtórzył rytuał.

— A! Moje oko!

— Nie znam nie znam...

Stary rybak wyszedł na plac w chwili gdy siedząca gigantyczna postać zaczęła się dziwnie żarzyć.

— O k*** pier*** wasza mać! — powiedział marynarz i zaklął szpetnie. Po czym wypa-rował.

Dziwnie ciepła i sucha bryza od lądu rozwiała kapitanowi brodę (na okręcie brakowało piramidek do ostrzenia żyłek). Związał ją więc ponownie i zarzucił za ramię. Przyjrzał się jeszcze dziwnej chmurze nad lądem i wrócił do podziwiania dawno niewidzianego zachodu słońca. Jakiś marynarz wspiął się po drabinie na kiosk.

— Czerwona Gwiazda na kiosku wyfroterowana na glans, towarzyszu kapitanie!

— Dobrze dobrze - powiedział rozmazonym głosem kapitan. - No to leć tam na dół, dorzuc węгля do rektora i powiedz, że zaraz schodzimy na peryskopową. Musimy kontynuować misję!

Hcorg

El amor, el odio y la sopa de tomatos

...czyli telenowela produkcji wenezuelsko-meksykańsko-hoffmaniackiej

Odcinek 4

Gwoli przypomnienia starym a wyjaśnienia nowym czytelnikom tej pierwszej na świecie (o ile mi wiadomo) telenoweli prasowej: kilka słów, o czym było wcześniej:

Nasza piękna, dobra, szlachetna, rezolutna, uczciwa, mądra, wyrozumiała, posiadająca duże zdolności manualne, analityczny umysł, zdolność abstrakcyjnego myślenia i rysowania czytelnych map mentalnych bohaterka jadła śniadanie ze swoją rodziną i ich mleczarzem, gdy do środka weszła jej również niczego sobie najlepsza przyjaciółka, ze złowrogim wyrazem twarzy — Ewelina:

Ewelina (która ma tylko jedno imię, ale za to jej nazwisko może się z czymś skojarzyć czytelnikom, lecz padnie nieco później): Nie dostałam angażu (dramatyczna solówka). Nie dostałam!!!!!!!!!!!!!!

M.B.M z P. w Ś.: Jak to? Przecież się starałaś. Godzinami ćwiczyłaś w naszym domku, aż wykorzystaliśmy cały ser na zatycki do uszu.

E: Ale był ktoś lepszy ode mnie. Nie zaśpiewam piosenki finałowej w reklamie oleju silnikowego!

Koniec Odcinka 4.

W następnym odcinku: Zapewne poznamy reakcję reszty przyjaciół na tak zaprzeczoną (choć może nie do końca) karierę gwiazdy olejów silnikowych, przy odrobinie szczęścia uszczniemy rąbka jakiejś ważnej tajemnicy, obejrzymy taniec św. Wita i coś tam jeszcze. Aha! Wiadomość dla „Fun — Clubu Rokiego™”: owsianka bardzo mu smakowała, ma nadzieję

dostać jeszcze kiedyś dokładkę, zdjęcia z autografem można będzie otrzymać w Migdałową Niedzielę na Niebieskich Błoniach o godz. którejś tam.

C.d.n.

Ptaszyna

miejsce na Twoją reklamę.

skontaktuj się z najbliższą placówką dyplomatyczną celem poznania szczegółów akcji.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za konsekwencje kontaktów z mafią



...Shopka

Poczuj magię tych \$wiąt!

*Rock Opera wierszem, w czterech osłonach
k' uciesze, a pożytkowi gawiedzi przez PiXela spisana,
a przez Platzka ilustracjami dla niepiśmiennych
opatrzona.*

ODSŁONA PIRWSZO:

*(Wnętrze telewizyjnego studio. W tle przypróśzone śniegiem
góry z widocznymi wpływami kubistycznymi, dalej góralsko
chatko z dykty, góralsko kapelo z Zakopanego,
CHÓR_NA_LUDOWO i BIAŁY MIŚ.)*

BIAŁY_MIŚ:

*(w ruchach trochę sztuczny, żrenice rozszerzone, oddech
przyspieszony, tętno podwyższone, temperatura w normie)*
Zawsze cocacola!

CHÓR_NA_LUDOWO:

*(Odziany w tradycyjne stroje z regionu Podogonia, wyśpiewu-
je na znaną melodię „Szlimy no ćwiore”)*

Chłopcy nadciągają
Na bumboksach grają
Oj-di-ridi! — Łupu-cupu!
Nieźle basy majo.

Majo dużo kasy
Kupio adidas
Chcesz być \$więty — Kup prezenty!
Takie przyszyły czasy!

PÓLPRZEWODNIK_CHÓRU:

*(Odziany w tradycyjne bimbosze, na głowach siermięchy, kaf-
tan z wypięzami i pucowane wypolce)*

Hej, u nos tradycja — nic się nie zmienia!
\$wientujem tak samo przez pokolenia!
Sam facet z kamero — wierzajcie ludzisko! —
Podziwiol jak u nos zrobione to wsysko!
Bo tutaj, panocku, zrozumies bez słowo
Że polsko na zawse zostanie ludowo!

Jok chceta tyż w domoch mieć trochę tego —
To płyty kupujta zespołu nasego!

*(Kapelo góralsko za nim, odziana w tradycyjne, nabijane ce-
kinami hłamwzdryki rzępoli beczące kwinty)*

CHÓR_NA_LUDOWO:

Dresiarze przybyli
Pokłony złożyli
Sprzęt do chaty — Jest na raty
Niedrogo kupili!

Nad nimi anieli
W fartuszkach z cepelii
2.50 - A gdzie reszta?

Resztę diabli wzięli!



ODSŁONA DRUGA:

*(Miasto nocą: jaskrawe billboardy, rozświetlone okna wystaw,
ulice rozgwieżdżone niezliczonymi lampkami.)*

BIAŁY_MIŚ:

Zawsze cocacola!

BIAŁA_MYSZKA:

Akurat!

SCROOGE:

Brednie dla głupców!

DUCH_\$WIĄT:

(Zza kadru, głosem Wielkiego Brata)

Więc nie wierzysz w \$więta?
Nie chcesz bombek, prezentów?

SCROOGE:

Nie dam ani centa!

DUCH_\$WIĄT:

Poczuj magię \$wiąt! Wszystkich odmieniła!

SCROOGE:

Ja wiem swoje, mnie nie ruszy żadna obca siła.

DUCH_\$WIĄT:

(zrezygnowany, do TRZECH_FACETÓW_ZE_WSCHODU)

A wy gdzie, koledzy? Co się tak chowacie?
Mirra? Kadzidło? Komu to dziś dacie?!

FACET_ZE_WSCHODU:

(trzymając w ręku plastikową torebkę z mirrą)

Wiesz jak ciężko to było przewieść przez granicę?!

DUCH_\$WIĄT:

Złoto mocno stoi, jak się pospieszycie
Dary jak marzenie w promocji kupicie!
Dalej! Ruszcie i zwiedźcie handlową ulicę!



Coraz bliżej Święta...

(Postaci z billboardów, o niezwykle, tajemniczej urodzie podkreślonej jeszcze halogenowym oświetleniem opuszczają jedna po drugiej swoje reklamy i gromadzą się na scenie otaczając facetów ze wschodu. Chód mają nieco robotyczny, /wyraźne wpływy meyerholdowskie/, źrenice rozszerzone, oczy białe w jeden punkt, głosy niezwykle sugestywne. Ma coś ten ich pochod z somnambulicznego bezrozmysłu.)

KOCHAJĄCA_MATKA:

Kochasz syna swego — kup mu klocki lego.

CUKIERKOWA_CÓRECZKA:

Tylko barbie szczęście da mi
(W zestawie z wszystkimi akcesoriami!)

PIĘKNE_OCZY:

(mrugając porozumiewawczo)
Kamery cyfrowe — stracone dni jak nowe!

CHOCHOŁ:

Raz dokoła! Raz do koła!

PIĘKNE_OCZY:

(głosem jednoznacznie wskazującym, że wspomniany produkt jest w stanie dostarczyć niezwykle głębokich doznań)
Święta to czas pojednania i czas przebaczenia
Kupcie bliskim aparaty głośnego mówienia!

DŁUGIE_NOGI:

(przekrzykując poprzednią)
Karpie z reklamy - tylko my je mamy!

FACET_ZE_WSCHODU:

(pędząc od wystawy do wystawy)
Zaraz, czego my tutaj właściwie szukamy?

(Wszystkie postaci zamierają w fotograficznych pozach, nad miastem zapada dzwoniąca cisza, a na proscenium wysuwa się Scrooge)

SCROOGE:

Świat gorączka trawi świąt, ja tego nie czuję...
U mnie ruch jest cały rok - bombki produkuję!



ODSŁONA TRZECIA:

*(Sala tronowa w olbrzymiej podziemnej grocie. Ze wspaniale zdobionego stolca ustawionego na niebotycznej górze puszek, butelek i papierów spogląda na świat **ŚWIĘTY_MIKOŁAJ**. U stóp góry, po jego prawicy **RONALD McDonald**, po lewicy **BIAŁY_MIS**. Nad nimi **CHÓR_TELEANIOLÓW**.)*

RONALD:

Jam jest kapłanem i prorokiem nowej wiary!
Od wschodu do zachodu, wszystkie pokolenia
Czcć mnie będą i wzywać mojego imienia
I składać będą na ołtarzach moich dary.
Niesie się z fabryk dym ofiarny w cztery strony
A świątynie moje na każdym stoją rogu
W każdym mieście składają hołd Jednemu Bogu...
Kto pierwszy spełni sen ludzkości niewyśniony?
Sprawiedliwie każdego po równo obdzieli?

Nie masz na tym świecie boga prócz mamony
Więc zanoście hymn panu, o teleanieli!
Niech usłyszają narody, niech rozpozna go świat!

CHÓR_TELEANIOLÓW:

(włosy blond, biusty wydętne)
Wszystkim ciało Ronalda, wszystkim Jedna Droga!
Nie masz ludzi nad ludzi, boga oprócz Boga,

A imię Jego 9,99 + VAT!

RONALD:

Jeden duch, jedno ciało i jedna bezwola.
Jedno jest przykazanie:

BIAŁY_MIS:

Zawsze cocacola!

SW_MIKOŁAJ:

Kto dzisiaj pamięta, co to są za Święta?

1szy_RENIFER:

Świąta prezenta!
Kupujcie, kupujcie! Bliskich obdarujcie!

2gi_RENIFER:

Świąta atmosfery!
Świąta atmosfera — ryba od listnera!

3ci_RENIFER:

Świąta rodziny!
Dzwoń do rodziny w darmowe godziny!

SW_MIKOŁAJ:

(śmieje się diabolicznie: hoł-hoł-hoł!)
Moje jest zwycięstwo! Ja zdobyłem Święta!
Jego pokonałem — któż go dziś pamięta?

CHÓR_TELEANIOLÓW:

Jego nie pamięta? Nie pamięta kogo?
Skoro wypadł z branży - pewnie brał za drogo!

RONALD:

Takie przyszły czasy — kapitalizm, bracie!
Zresztą: co chcieliście — sami teraz macie!

Coraz bliżej Świąta...



ODSŁONA CZWARTA:

(W wigilijnej izbie, wokół suto zastawionego stołu stoją **TELEWIZOR**, **GŁOWA_RODZINY** i **PACHOLETA**. W tle choinka, pod nią liczne prezenty. Gra świąteczna muzyka z playbacku.)

GŁOWA_RODZINY:

Potraw dwanaście na stole mamy
Wszystkie świąteczne, wszystkie z reklamy:
Przy stole goście i Telewizor
(Sceny z walutą á la Rewizor)
Ziemniak w mundurku — burak w krawacie,
Fisz po gałczyńsku: skumbrie w tomacie,
Kurwiki w owsie i modny przysmak:
Lew w zalewajce, lub czasopisma.

Patrzcie pacholeta —
To są właśnie święta!

Mocno skręcane liny w śmietanie
Filet ci kością w gardle nie stanie:
Mózg rozbełtany á la Witkacy —
Czerstwa rozrywka dla ludzi pracy
Tysiąc lat powstań, trudu i stresu —
Piętnastolecie superexpresu.

Patrzcie pacholeta —
To są właśnie święta!

Świeżo złowione norweskie łosie
Wolno duszone w porannej rosie
Marynowane w winie skowronki
Nastrój gdzieś przysnął? — Leć do biedronki!

Patrzcie pacholeta —
To są właśnie święta!



WSZYSCY:

(ustawiają się na proscenium na podobieństwo rodzinnej fotografii /koniecznie aktorstwo reliefowe!// i śpiewają na znaną melodię:)

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi

Wstańcie pasterze...

(przerywają, patrzą po sobie, widać, że próbują przywołać coś w pamięci...)

BIAŁY_MIS:

Zawsze cocacola!

(Wszystko ukrywa czerwona kurtyna ozdobiona logo sponsora)

ZASŁONA:

CHÓR_NA_LUDOWO:

(zza kurtyny)

To na tyle, a gdzie reszta?

Resztę diabli wzięli!

~AUTOR_1:

(sprzed kurtyny)

Wesoły świąd...

~AUTOR_2:

(maluje autoportret w pozycji ukłonionej)

piXel & Platzek

Koniec świata

Profesor M. siedział już czwartą noc w laboratorium. Oczy same mu się zamykały, od nadmiaru kawy czuł skurcze w jelitach, wszędzie pełno było brudnych kubków i pokreślonych papierów, w powietrzu unosił się zapach potu i czosnku. Ten ostatni naukowiec jadł dla wzmocnienia podczas długotrwałych badań.

Profesor M. tak naprawdę nazywał się Józef, nie znosił jednak swojego imienia, a zdrobnienie "Józio" przyprawiało go o mdłości. Dlatego wołał mówić o sobie "profesor". Zresztą miał do tego wszelkie prawa, skończył bowiem swego czasu studia na Wydziale Fizyki, gdzie teraz pracował. Ostatnio poszukiwał spójnego systemu opisu całego świata, który to system na swój własny użytek zwykł nazywać Wielką

Zunifikowaną. Czuł, że bliski jest wyprowadzenia ostatecznych równań, postanowił więc nie wracać do domu na noc, która niepostrzeżenie przeciągnęła się do — jak wiemy — 96 godzin, co bardzo zaniepokoiło czekającą w domu żonę, zresztą długowłosą blondynkę o niebieskich oczach i nogach tak długich, że mężczyźni mijający ją na ulicy przecierali oczy, a sam profesor, jeszcze w latach narzeczeństwa, przeprowadził serię pomiarów ich długości. Wyniki opracował oczywiście zgodnie z konwencją, a rezultat sprawił, że nieustraszony badacz zmuszony był opóźnić ślub o kilka miesięcy, które spędził w sanatorium, lecząc się na serce.

Wzmiankowana żona czekała na profesora z obiadem, a ponieważ nie była

przyzwyczajona do pracy naukowej, zasnęła po pierwszych 24 godzinach spędzonych w kuchni. Gdy się obudziła, zupy zostało już tylko przykre wspomnienie w postaci dymu, co przyprawiło sumienną żonę o rozpacz i histerię. Po upływie kolejnej doby pod dom profesora zajęczała biała furgonetka, wysiadło z niej dwóch panów w kitlach i biedna żona została przewieziona do szpitala psychiatrycznego w Tworzech.

Nieoczekiwanie to smutne na pozór wydarzenie okazało się być najlepszą rzeczą, jaka mogła się jej przytrafić. A było tak, ponieważ w tym samym czasie, kiedy furgonetka odjeżdżała spod domu przy ulicy Kwitnącej Akacji, zamieszkujący tam na co dzień profesor dopisał po obu stronach znaku równości „13ek*ln”, co spowodowało, że



Koniec świata

Tajemnica Wszechświata została rozwiązana. Profesor radośnie wybiegł na ulicę, dzieląc się ze wszystkimi przechodniami swoją świeżo nabytą wiedzą. Ponieważ zdecydowana większość z nich nie miała nawet pojęcia, co oznacza "ln", zmuszony był tłumaczyć im wszystko od początku: że cały świat da się opisać czysto fizycznie, że żadne ze zjawisk nie jest wynikiem naszych intencji, lecz tego, co już się zdarzyło; że człowiek jest istotą czysto biologiczną i — co za tym idzie — nie istnieje ani dusza, ani żadne z tzw. uczuć wyższych; że cała dotychczasowa filozofia pozbawiona jest sensu; że Boga nie trzeba się bać, bo — rzecz prosta — w ogóle istnieć nie może, a nawet gdyby istniał, nie miałby żadnego wpływu na nasz świat; w końcu że pewne rzeczy muszą być w określonym czasie odkryte i gdyby on,

profesor, przerwał swoje badania, to być może do tych samych wniosków w tym samym czasie doszedłby któryś z jego mniej zdolnych kolegów.

Im dłużej dzielił się profesor swoim wielkim odkryciem z przechodniami, tym smutniejsi odchodzili ludzie spod wydziału. Wieść rozniosła się po kraju błyskawicznie, niedługo potem dotarła do ludzi na całym świecie. Rządy wydelegowały po jednym przedstawicieli na Kongres Planowania Przyszłości. Parlamenty przyjęły uchwały o zamknięciu wszystkich wydawnictw i spaleniu książek, jako opisujących świat nierzeczywisty. Kongres podjął decyzję o likwidacji szkół - wystarczyło znać jedno równanie. Znikły podziały społeczne, wszyscy chodzili jednakowo smutni i otepiali, a tysiące bezrobotnych kapłanów, filo-

zofów, artystów i naukowców leżało w rynsztokach razem z etatowymi bezdomnymi i żebrakami. Niektórzy tracili chęć do życia i szybko umierali. Inni postanowili bezkarnie korzystać z uroków egzystencji, mimo to jednak dzieci ubywało, bo nie miał ich kto wychowywać. Ludzkość zaczęła się kurczyć i degenerować.

Kwiaty przestały kwitnąć, drzewa zrzuciły liście, słońce — widząc bezsens swojego istnienia — popełniło samobójstwo, puchnąc najpierw do olbrzymich rozmiarów, a następnie wybuchając i — przy okazji — niszcząc wszystkie planety Układu Słonecznego.

Zapadła ciemność.

Z.

W zielonej trawie — sztuka w jednym akcie

Osoby:

Żdźbło Pierwsze
Żdźbło Drugie
Kropla Deszczu
Dwie Krople Deszczu
Stopy
Trawa jako Chór
Deszcz
Sztuka

AKT I

Scena I

(Wiosna, kwiecień. Trawa zielona w słońcu)

Żdźbło Pierwsze (wyciągając się w górę):
Deszczu!!!
Choćby jedną kropelkę...

Kropla Deszczu spada z białej chmury na **Żdźbło Pierwsze**

Żdźbło Drugie wyciągając się w górę bardziej niż **Żdźbło Pierwsze**
Deszczu!!!
Choćby dwie małe kropelki...

Dwie Krople Deszczu spadają z białej chmury na **Żdźbło Drugie**



Stopy ludzkie, duże, w sandałach idą po Trawie

Trawa puszczając soki

Puszczam soki...

Stopy przechodzą, schodzą ze sceny

Scena II

Deszcz nie czekając nawołanie spada z białej chmury

Trawa odrasta, pnie się w górę, z chwili na chwilę coraz wyżej; rośnie i rośnie, wyskakuje z korzeniami z ziemi, wchodzi na **Deszcz**, w tym **Kroplę Deszczu** i **Dwie Krople Deszczu**, które spadają z białej chmury; dziwi się, że deszcz spada tak szybko w dół

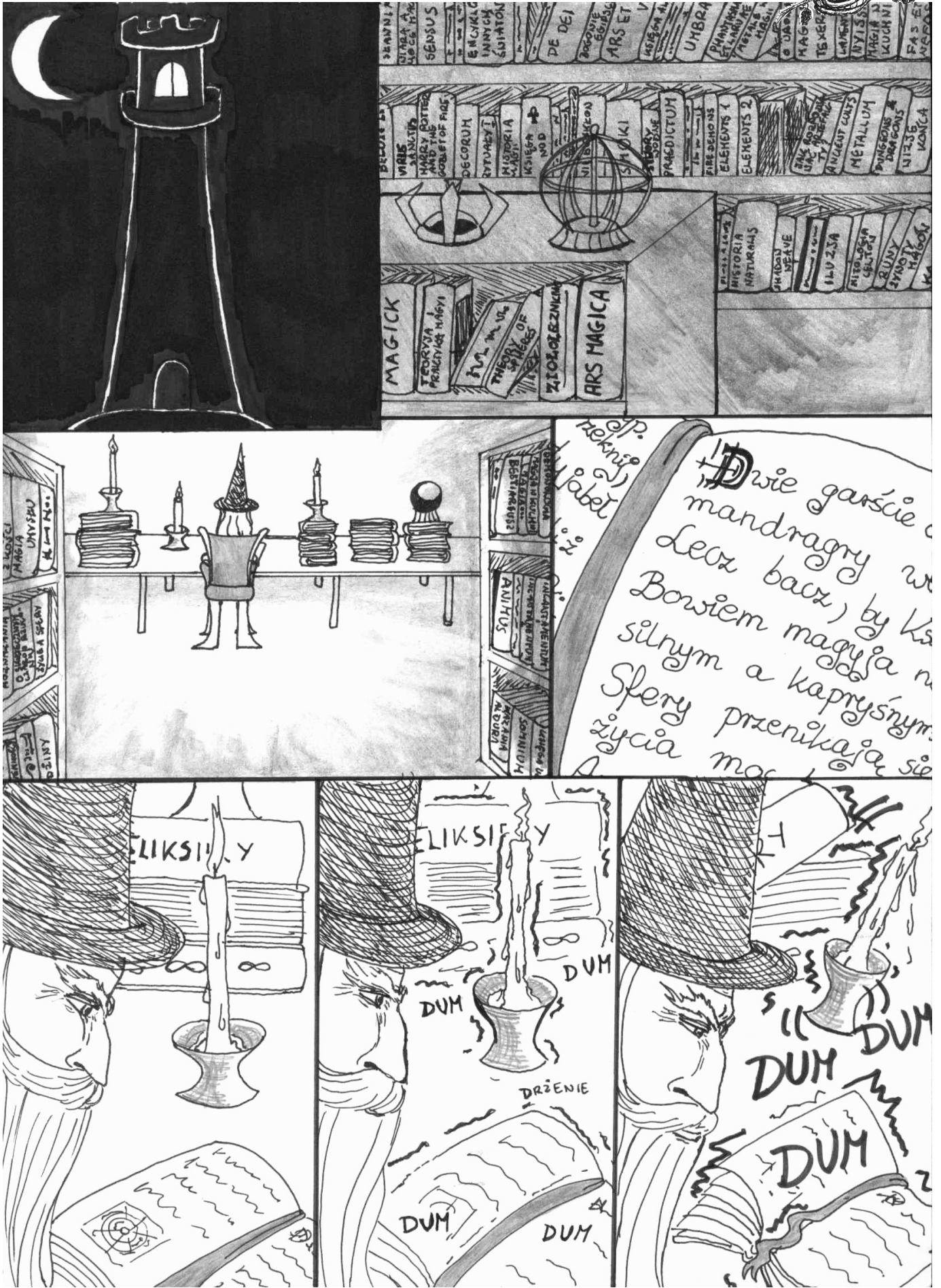
Deszcz spada tak szybko w dół

Trawa pijana deszczem staje na ziemi, chwije się, przewraca, leży i się wykańcza

Deszcz jeszcze przez chwilę spada tak szybko w dół, potem przestaje

Sztuka kończy się

SPR







VII. Stworzenie i odlot

Światłość wyszła z wody i rozproszyła ciemności.

W świetle postać tajemnicza się ukazuje, rozkłada ręce stworzone z myśli, promienieje zimnem.

O najmłodszy z Archontów! Rozglądasz się po zieloności, którą twój stwórciel oświeca, która rozpościera się pod tobą, która wyraża twoje ideały. Ale widzisz także, że nie ma wody — esencji twego bytu, choć czujesz jej obecność.

Kto mówi do mnie?

Rozgrzewasz się, brakuje ci piękna, czujesz już, że nie będzie ci dane, że rozprzestrzenia się pustynia martwej Titonos tam, gdzie się go spodziewałeś, tracisz powłoki niematerialne...

Kto mówi do mnie? Opuszczam się, ląduję na skałach, macam na pół ślepy, grunt nieprzyjazny, nie mam gdzie zapuścić korzeni. Cóż mam robić? Czemu milczysz? Nagi jestem wobec Słońca gorejącego, wsysa ze mnie myśli, upadam, wypala się chęć czynu... Odezwij się!

Nagle budzę się, dotyka mnie postać czarna, w oczach której widnieje wizja cudownego kraju, zrywam się, uskakuję — precz, Demonie! — horyzont zaludniony ciemnością, nadciąga zło, co ja robiłem? Widzę wolną drogę, biegnę nią, strach nadąża za mną, zatrzymuje mnie, uciekam — dogania znowu...

Ale już widzę, że droga kończy się urwiskiem! Pędzę naprzód, strach został w tyle daleko, zło kryje się za horyzontem, biegnę pełen euforii, byle szybciej do krawędzi! Pióra na mnie rosną, rozkładałam ręce, już mam skrzydła! Dobiegam, odbijam się, wspomaga mnie postać byczogłowa. Lecę!

Jestem albatrosem! Unoszę się w otchłani między ziemią a niebem, w zawieszeniu. Wypatruję miejsca, ale wszędzie albo pustynia, albo czarne hordy. Szukam gniazda, spokojnej przystani piękna i życia...

02.11.2004 (?) w świadomości zmian

VIII. Przemiana

Narodził się człowiek
W bieli martwego kwiatu
Leci ku światłu

Macha skrzydłami, macha
Nadchodzi chwila improwizacji
Która największych w obłęd wtrąciła

Wtrąciła w odmęt szczęścia
Nie zawsze tak samo pojmowanego
I niekoniecznie szczęśliwego

Szczęśliwego dla wybranki
Uratuje jedność radości

Radość niedzielona rozpada się
Niszczy wewnątrz swą intensywnością

Obudziłeś się! Nadchodzi ta chwila!
Machaj skrzydłami aż po kres swój!

29.11.2004 10.30 przy Leśmianie

IX. Dziewczyna leśmianowska

I nadszedł następny śniący o ludzkości
Oraz ideałach, jakimi są piękno i życie
Rozpostarł skrzydła
By przestrzeń dzielącą go od dziewczyny
Przebyć! Unicestwić! Sprowadzić do bliskości!
A dziewczyna stanęła na dole
By z przerażeniem odprowadzić go wzrokiem
Jak znika za niedosięgłym horyzontem
I ona odeszła w pustkę zostawiając ciemność

30.11.2004 9.04 po „Dziewczynie”

VI. Dies illa

Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Wszystkie grzechy zostaną wreszcie policzone
Złe dobro się ostanie w chwili próby
Czyny, co z nas ludzi utworzyły
Odejdą wreszcie w niepamięć
Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Kajdany moralności opadną z nas
Bestie znajdą swe ujście
Ruszymy odrobić zaległości w złym
W walce z nieprawdziwym dobrem
Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Spogląda na nas z góry sędzia straszliwy
Wspiera z dołu wspomóżyciel w akcji
Dzieci hannibalowe suną do ataku
Zniszczyć przekłete głosy boga
Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Hordy szkaradne rozbijają mury
Parszywej niebiańskiej doskonałości
Kostucha jednorożka podąża za nami
Swą ręką bezkosą skraca nam drogę
Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Już z miliardów gardzieli
Wydarł się ryk nasz mroczny:
Zdobyliśmy poczucie istnienia!
Zniszczyliśmy sens życia!
Weselmy się i radujmy się
Bo oto nadszedł dzień sądu
Światło nagle występuje przed nas
Smukła postać długowłosa
Skinieniem miażdży nasze potworności
Piękno i życie niszczą nas
Smućcie się, dzieci przynajwiększej
Bo oto wypadłyście poza wieczność...

05.10.2004 9.00-9.40 w pamięci Kasprowicza

Szczurek



Wiersze różne

* * *

a teraz wybieram sobie cel
bo tego ode mnie oczekują
idę po schodach w górę
idę w górę i wszyscy mnie wspierają

trochę wątpię, trochę nudno i chyba za łatwo
tak ciągle i ciągle w górę
za mną kolegów sznur, przede mną kolegów sznur
pętla dopasowuje się do mojej szyi

skręciłem w bok gdy było ciemno
żeby nikt nie zauważył
i biegnę co sił w dół
w dół, przed siebie, bez opamiętania

ludzie się gapią i dziwią się wielce
palcami wytykają
„To wbrew idei, ludzkiej naturze i zwyczajom!”
wydaje IM się, że ONI nie w bezsens gnają

dobiegłem na sam dół i raj spotkałem
wszyscy zdziwieni bo przecież nic o świecie nie wiedziałem
siedzę zadowolony, że innym się nie udało
przecież mnie nie słuchali...

budzę się następnego dnia na schodach
przez tłum poobijany
wstaję i zmierzam razem z nimi w górę
razem z nimi w bezsens gnam
w zgodzie z ideą, ludzką naturą i zwyczajami

2004

* * *

była przepaść
był i most
nad przepaścią, na moście
siedział ktoś

wycelowaleś w niego karabiny zwątpienia
odciąłeś mu dopływ rozsądku
nasłałeś komary, które wgryzały w niego
twoje wieczne Kocham

a jednak

nie zaprosiłeś go na swoje urodziny
na pogrzebie też go nie chciałeś
wyłączyłeś telewizor, żeby cię nie mógł zobaczyć
przestroileś mu radio, żeby cię nie mógł usłyszeć

była przepaść
był i most

a jednak

nad przepaścią, na moście
siedział ktoś

2004

Koniec świata

przytulam się do ciebie
wracają dawne chwile
mgły
nie była a jest
nic nie widzę
nie wiem gdzie jestem
jest mi zimno
przestraszony wycieram oczy w rękaw
biała koszula zroszona kroplami krwi
to nie byłeś ty
twoje zdjęcie
czemu mam tylko twoje zdjęcie
za szarą przykurzoną szybą
mimo tego czuję że i to zdjęcie ma w sobie magię
jak trzeba kochać żeby płakać do zdjęcia?
myślisz nic wielkiego
a ja płaczę bo nie widzę cię już minutę
uśmiechasz się
jednak boimy się tego samego
nie ma obawy
w dzienniku nic nie mówili o końcu świata

2002

Marcin Kurpiel

Apokalipsa według Fukuyamy

Nadchodzi jeździec apokalipsy
Piesz
Z połamanym mieczem
Obszargany
W spodniach bez nogawek
Zmęczony
Przywalony brzemieniem misji
W oczach błaganie o litość
Powłóczy nogami
Potyka się
Upada
U bram raju

Dolina Raclawki 26.08.2004 15.00

Szczurek

Redakcja Anytena Mleka pragnie złożyć wszystkim czytelnikom życzenia Wesołych Świąt i kolorowego jaj... ekhm, i udanego Sylwestra. Niech lektura tego numeru będzie miłym dodatkiem do relaksu, jakiego napewno doświadczyicie podczas tych kilku dni wolnych od wszelkiej roboty związanej ze szkołą.

Były to życzenia, które pragnęliśmy złożyć Wam przed Świątami. Niestety, numer ten ukazuje się już po czasie wolnym. Nie pozostaje więc nic innego jak uznać nadprzyrodzone zdolności Redakcji, która z taką dokładnością przewidziała, jak te Świąta będą wyglądać.

Redakcja



Na początek i na koniec

OSOBY DRAMATU:

Maryja , dziewczica
I Król, naukowiec
II Król, monarchista
III Król, socjalista
Pastuszek, optymista
Pastuch, pesymista
Bydlę, racjonalista
Baran, surrealista
Homar, romantyk
Mrówka, pozytywista
Mędrzy Starożytni
Wszechwiedzący narrator, artysta

CHRYSTUS DRAMATU:

Jezus Chrystus

SCENA 1

(I Król, II Król, III Król)
*Pustynia piaszczysta, nad horyzontem
wielka gwiazda przyświeca drogę trzem
podróżnikom, towarzyszy im lekki
wietrzyk*

I Król:

Mgławica planetarna, jak byk
Dziś eksplozja, dziś implozja

II Król:

Mało kto się na tym pozna
Lecz to gwiazda jest z korony
Każdy król by taką chciał

III Król:

A choćby i największy taką miał
Nie raz spłynie na niej krew
Toczyć będzie wkrótce czerw
Aż czerwoną gwiazda będzie
Po to ludzie tutaj są
By w braterstwie rządzić, żyć

I Król:

Dziś energia w jednym miejscu
Da nam owoc niesłychany
Co to będzie — przebadamy

SCENA 2

(poprzedni, Wszechwiedzący narrator)
wiatr się wzmaga

Wszechwiedzący narrator:

Ha! Ludziska
Ja tu wszystko dobrze słyszę
Mnie sam eter wnet olśniewa
Wszystek życia dziś opiszę
Po kolei, najpierw drzewa...

I Król:

Jakie drzewa?
Przecie my na ergu stoim?

Wszechwiedzący narrator:

Drzewa, drzewa
Jak mus będzie, będą drzewa
Ale racja toż to snadnie
Jest egzageracja
Trzeba zacząć, ot od krzewa!

II Król:

Jak w ogrodzie, żywopłoty...

Wszechwiedzący narrator:

Co ty mi tu za blekoty
Wciskasz, trzeba nam do dziczy
Aby świat był tajemniczy

III Król:

Już blisko jesteśmy!

SCENA 3

(Maryja, Bydlę, Mędrzy Starożytni)
*Przed szopką, nie opodal widać lunę
miasteczka Betlejem*

Maryja:

Nie było miejsca w mieście
Drzwi domów już zamknięte
Nikt nie pomógł tu niewieście
Serca ludzkie są bydlęce

Bydlę:

Wypraszam sobie, to być nie może
Jestem nieparzystokopytny

Maryja:

Tu na słomie się położę
Ludziom zaś przebaczę
Nie ich wina że dziś tylu
Gości zawitało
Dziecko moje tu porodzę

Mędrzy Starożytni:

Przybywajcie przybywajcie
Do stajenki gdzie Pan Jezus
Się urodzi

SCENA 4

(Pastuch, Pastuszek, Baran)
*Pole graniczne między pustynią a szopką
a Betlejem*

Pastuszek:

Raduj się dziś, raduj bracie
Zbawiciel na świat przychodzi

Pastuch:

Co wy mi tu
powiadacie
Co to kogo tu obchodzi
Może przyjdzie może nie

Pastuszek:

Niedowiarek to się zwie

Pastuch:

Czemu żyć nadziejami
Gdy te często są bajkami

Baran:

Bajki te są piękne
Gdy im świeci feeria barw
Tu Zbawiciel tu sianeczko
Tam znów huk armatnich salw
Pokropimy wszystko wrzątkiem
Marchwie zaczną rosnąć rządkiem

Pastuch:

Ten dopiero nawiedzony

Pastuszek:

Ale za to uśmiechnięty
Ja skazany na twe smęty...
Raduj się, szczęście same
Dziś tak rzadko spotykane
Patrz, stajenka, oto przybywamy

SCENA 5

(poprzedni, Wszechwiedzący narrator,
Homar)
*Zbliżają się do stajenki, zaczyna wiać
wiaterek*

Głosy zza drzwi
Mędrzy Starożytni
Przybywajcie przybywajcie
Do stajenki gdzie Pan Jezus
Się urodzi

Wszechwiedzący narrator:

Stójcie zaci ni podróżnicy
Ja strażnikiem tej tradycji
Co każe nie przyjmować
Bez zezwoleń i petycji

Pastuszek:

Jakich petycji?

Pastuch:

Mówiłem że tak będzie

Wszechwiedzący narrator:

Ano ano w takim razie
Stańcie w linii, tutaj w rzędzie

Pastuszek:

Przecież nie ma tu kolejki!



Na początek i na koniec

Wszechwiedzący narrator:

Jak to ? To on?

Wskazuje na stojącego przy drzwiach homara

Pastuszek:

Co to ? co to?

Homar:

Kto to, jeśli łaska
Ja tuż obok Wertera stałem
I tak jak on miłowałem
Lecz me lica kryła maska
I uciekła mi do diaska

Pastuszek:

Kto ci uciekł?

Homar:

Ano pani mego serca
Jak nie wierzysz toś oszczerca
Stanąć tutaj z tobą mogę
Zaraz wpiję ci ostrogę
Na floretty czy na szpady?

Baran:

Nie obejdzie się bez zwady
On homara rany lechce

Pastuszek:

Ale bić się wcale nie chce
Pokój ludziom dobrej woli

SCENA 6

(poprzedni I Król, II Król, III Król)
Dochodzą Królowie

II Król:

O ciżba przed stajenką stoi

Homar:

Mnie z ludem mylić nie przystoi
Jestem indywidualistą

Pastuszek:

Witajcie mędrcy tego świata
Aż tu chwałą wasze męstwo
Pokłon biję

III Król:

Niepotrzebnie wszak my bracie
Wszyscy równi

Wszechwiedzący narrator:

Czas się zbliża, już to czuję
Czas już czas dla nas czas

Mędrcy Starożytni:

Przybywajcie przybywajcie

Do stajenki gdzie Pan Jezus

Się urodzi

SCENA 7

(poprzedni, Maryja, Bydłę, Mrówka)
*Wszyscy wchodzą, w stajence jeden
żłobek oprócz niego kosa, cep i młyński
kamień, wszędzie leży siano*

Wszechwiedzący narrator:

O jak pięknie i oszczędnie
Ale wszystko jest praktyczne

Bydłę:

Ubożuchne, ascetyczne

Wszechwiedzący narrator:

Sęk w tym że pożytek będzie
Praca najważniejsza jest

Mrówka:

Zgadza...zgadzam się

Maryja:

Witajcie przybysze miłościwi
Wiem, że bieda ta was dziwi
Ale bądźcie litościwi...usiądźcie

Królowie:

Dla przyszłego Zbawiciela dary...

I Król:

Oto dlań są okulary
By świat widział jakim jest
I w fizyce widział sens

II Król:

Oto dlań jest berło złote
Jako król nasz przyszłej wiary
By on nie był taki szary

III Król:

Oto dlań jest ubiór prosty
By znał troskę o lud bosy
Jak o trawę pełną rosy

Maryja:

Dziękuję

SCENA 8

(poprzedni)

Maryja:

Już za chwilę będę rodzić
Czas dla Zbawcy by przychodzić

Mędrcy Starożytni:

Przybywaj przybywaj Panie

Do stajenki gdzie ludzie prości
Cię czekają

Wszyscy:

„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Ma granice nieskończone”

I Król:

Limes przy x dążącym do 0
Ma granicę niewłaściwą?

Wszyscy uradowani:

Wreszcie nadszedł czas zbawienia
Będziemy tańczyć i grać

Wszechwiedzący narrator:

Stać! mnie słuchać macie
Monolog! Monolog!

odchrząka

Ja was wszystkich w jedno garnę
Każdego z was mnie zdobi imię
Coś jest wielkie potem marne
Wy giniecie ja nie ginę
Jestem waszym monumentem
Monument na monumencie staje
Od wieków łączę je cementem
Ja architektem co wam prace daje
Budowniczym co zamierzeń nie znacie
Macie na oczach czarne wstęgi
Jak Fortuna ślepo wyrok wykonacie
Co wam w nocy podpowiedzą męki
Jestem waszym mistrzem, panem!

SCENA 9

(poprzedni, Jezus Chrystus)
*Jezus Chrystus się narodził. Wiatr ucieka
i rozwiewa się na cztery strony świata*

Wszyscy do Jezusa:

Tyś jedynym Panem naszym
Jedynie Ty nas umiłowałeś
Od złych wiatrów ratowałeś
Ty nam całe życie dałeś
Myśli, słowa i pojęcia
Dziś Ci wszystko oddajemy
Nasze serca są do wzięcia

Maryja:

Znów historia doszła końca
Trzeba nam od nowa zacząć
Czekać do czerwieni słońca
By na Sądzie wreszcie spocząć

Rafał



Dekadentyzm

MANIFEST

Wobec niemego zachwyty wiosną, wobec poezji bez rymów i metafor, wobec języka uboższego o swobodę myśli, wobec odwrotu od Tuwima i Lorki — bunt! Ludu, powstań! Głośmy hasła nowej idei!

PRECZ Z WIOSNĄ!

Romantycy i dzieci się pewnie oburzają. Ach, proszę państwa, ja sama wiele mam w sobie z romantyka. Ale wiosny nie lubię. I to nie dlatego, że jest radosna, nie dlatego nawet, że taka oklepana, banalna, przez wieki pisania o niej sprowadzona do kiczu - nie. Moja osobista niechęć do wiosny bierze się z faktu brutalnego narzucania przez nią tej swojej wesołości. Może nawet nie ona sama ją nam narzuca, ale społeczeństwo. (Proszę się nie oburzać zanedo, nie mam nic przeciwko cieszeniu się wiosną, ale proszę się nią cieszyć we własnym zakresie i uszanować prawo innych do smutku...)

Wiosna to odrodzenie. Ale wiosna to również „Dytyramb” (kto nie czytał Tuwima, ten ma prawo nie wiedzieć, lecz kto czytał i dalej nie widzi...). A odrodzenie, proszę państwa, zaczyna się wewnątrz. Ech, nie podchodźcie do wiosny tak bezkrytycznie, wsłuchajcie się czasem w siebie, rozejrzyjcie się wokół...

Rezygnacja z egoizmu wcale nie jest łatwa. To prawda, ale należy uważnie słuchać innych ludzi.

Lecz słowa nic nie zmieniają. Trzeba więcej robić, a mniej narzekać. Zamiast jęczeć — spróbujcie coś zmienić!

„— Powinno być inaczej.

— Jak?

— Nie wiem. Inaczej.”

Prosimy bez takich, panowie i panie. Prosimy o życie — nie nieme trwanie, nie apatię, nie bezwolne podążanie za tłumem. Nie jesteście liśćmi niesionymi przez wiatr. Rozejrzyjcie się. Spójrzcie na wiosnę krytycznie. Sami ją pokochajcie lub sami ją odrzućcie. Dajcie innym do tego prawo. Żyćcie.

MANIFEST

A moja poezja niech będzie mą duszą,
niech leci do Ciebie, któremu ją piszę

A moje życie niech będzie naprawdę,
niech znajdę wolność i miłość niech wyśnię

A moja miłość niech będzie do ludzi,
niech lekką im będzie i niech ich nie boli

A moja śmierć niech przyjdzie świadomie,
niech rozpacz zabierze — lecz kochać pozwoli...

METAFIZYKA

Wiadomo, komu

Ten anioł zawsze latał pod muchą
i czarnych nie otwierał okien.
Do sufitu ciągle mu było daleko,
choć loty miał przecież takie wysokie.

I na dobranoc bajki opowiadał.
Taka bajka, choć senna, nigdy nie nudzi.
A ręce swoje od kredy anielskie
zawsze wyciągał do ludzi.

Dla nas zawsze był zegarmistrzem,
a trochę alchemikiem nadziei
— w głowach poustawiał nam kółka zębate
i dusze nam zazielenił.

On jeden wierzył, że urośniemy,
gdy ciągle tacy byliśmy malutcy.
A teraz, kiedy jesteśmy już duzi,
to anielskim śladem coraz bardziej ludzcy.

KRETOWISKO 2004

*Ci, co byli, rozumieją,
a inni może pojedą w przyszłym roku*

Ballada powoli po drodze się snuje,
wypatruje szczęścia wśród strumieni i deszczu.
Na zakręcie się czasem zaśmieje radośnie,
że anioły tak nisko latają tu jeszcze.

Jesień się zbliża i upał na szlakach,
bociany w drogę szykują już skrzydła.
Anioły pewnie po tych samych śladach
odlecą niedługo do innych miłości.

Lecz siedzą z nami jeszcze przez chwilę,
dzielą się swoim uśmiechem i słońcem.
Przez skrzydła im wieje wiatr halny,
choć noce sierpniowe już nie są gorące.

A my ukradkiem grzejemy ręce,
żeby nie mącić aniołom nadziei.
Odchodzimy w góry, chowając serce
najgłębiej, jak tylko umiemy.

DEKADENCI

I.

Rano jemy garść leków,
śniadanie — żeby nie przytyć! —
koniecznie mleko i zdrowa żywność,
lecz kawy nie wolno nam wypić...

Krok każdy stawiamy z rozwąga,
bo przecież społeczność wciąż patrzy,
bo szkoła, bo studia, rodzina i dzieci,
bo już nie wolno nam żyć inaczej...

Jest czas na poezję i czas na miłość
— lecz to są czasy skradzione,
bo tak naprawdę liczy się wiedza,
odpowiedzialność i prace domowe...

Lecz że okowy te już nas mierzą
i że nie chcemy żyć tak do końca,
szukamy sposobu, żeby się wyrwać
do nieba! Sztuki! Do słońca!



Wzdychamy cicho do dekadentów,
nocami śnią nam się peleryny...
Przybyszewszczyzna! Artysta i sztuka!
Lecz... My się tylko bawimy...

Wszak dziećmi jesteśmy! A Mądrzy Dorośli
najlepiej wiedzą, co dla nas jest dobre.
I prawie wierzymy w to swoje szczęście
w tej złotej klatce — za oknem...

II.

Dziś mamy wszystko. Za dużo? Za mało?
Wszak nasze wszystko jest naszą winą!
(Przodkowie patrzą z wyrzutem.) I co zostało
nam — co ze wszystkim giną?

Dziś mamy życie i świat na usługach,
a nasze wszystko pieniądzem nas mami
i nawet tonąc ze wszystkim w długach,
„Ja mam! Posiadam!” — wołamy.

Butnie wciąż chcemy więcej i więcej,
bo nam wszystkiego wcale nie starcza.
I wyciągamy po nowe ręce...
I to jest właśnie - ta nasza tarcza.

Lecz jakże bliscy jesteśmy poecie,
co zwątpił w życie ponad wiek temu!
„My? Mamy wszystko...” — powiecie.
Lecz nasze wszystko — jest równe niczemu...

Wszak nasze wszystko nic nam nie daje.
Za dużo mamy już do stracenia.
To sławne wszystko - to sztuczne raje.
My zgubiliśmy już dawno marzenia...

Wszystko nam je zabrało. Razem z radością.
Z ubóstwem naszym — życie nam pierzchło.
I już nie wolno żyć nam miłością
— to nawet szkodzi. To jest aż śmieszno.

Za wszystkim jesteśmy w ciągłej pogoni,
brak czasu jest już jak wieku choroba.
A nasze wszystko — zwolnić nam broni.
A my robimy — jak mu się podoba.

O życiu wiemy, lecz wiemy z książek:
Jak to — na przykład — jest na przechadzce.
Do życia tego tęsknimy może,
przez nasze wszystko zamknęci w klatce.

Jedyną naszą nadzieją dekadent,
co wszystko odrzuci... Co żyje dla sztuki...
Lecz cóż jest sztuka? O co pytamy?
Ale to jutro... Chleb trzeba kupić...

A we mnie dekadent płacze w udręce
i krzyczy: Uciekaj! Wyjdź ze swej klatki!
I wiersze pisać zacznij czym prędzej!
Biegnij ulicą! Słysz wiersze i ptaki!

Lecz że mnie wszystko z przodków jałmużną
trzyma w swej klatce zbyt mocno,
zostanę tutaj. Jest już zbyt późno.
Ten wiek nas tylko zbliżył — z niemocą...

III.

Dekadenci wychodzą z ukrycia,
są tacy smutni, że straszą nimi dzieci,
peleryny czarne rzucają na ulicach,
gdy wieczorem w kawiarni rozmawiają o śmierci.

Słuchają, jak pada i jak wyją psy,
nagle wychodzą i giną gdzieś w mroku.
Nocami piją wino i absynt,
rano wracają do sklepu na rogu.

Mają stare gitary i struny złote,
chodząc po świecie zdzierają buty,
upadli i dumni sypiają pod płotem,
o chlebie i winie żyją dla sztuki.

Ich dusze zgnębione świadomość męczy.
Nie chcą nic wiedzieć. Na żaden temat.
Siadają na ławkach i — nie myśląc więcej —
z księżycą i wina tworzą poemat.

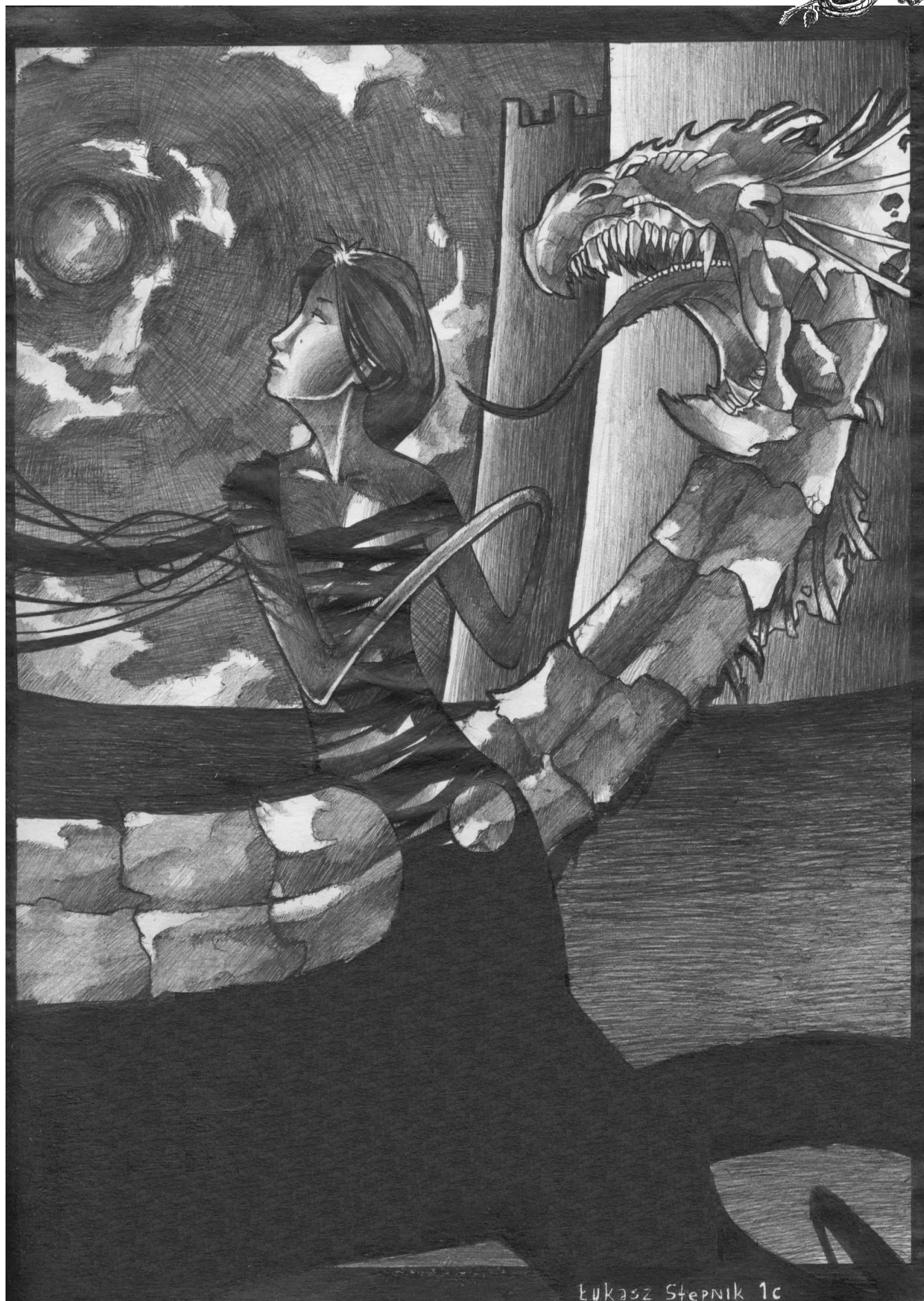
Nie chcą niczego. W nic już nie wierzą.
Nic ich nie cieszy. Nic ich nie złości.
Tylko nocą, pod gwiazdami leżąc,
dopalają skręta, myśląc o miłości...

Z.

TREŚCI SPIS

Wstępniak	2
Listy do redakcji	2
Konkurs	3
Moskwa. Paul McCartney.	3
Gombrowicz w snach	4
Kim jesteśmy?	5
Wyjęzyczenia	6
Prof. Natorf	7
John Aplaus	8
El amor, el odio y la sopa de tomates odc. 4	9
Shopka	10
Koniec świata	12
W zielonej trawie - sztuka w jednym akcie	13
Komiks	14
I, II, III	16
Wiersze różne	17
Na początek i na koniec	18
Dekadentyzm	20
Tu jesteś	21
Galeria OSY	20

anyten@wp.pl



Łukasz Stepnik 1c